

1

Teza artykułu była prosta: po wyzwoleniu Iraku określanie Stanów Zjednoczonych mianem światowego policjanta stało się niewłaściwe. Należałoby raczej mówić o globalnym ordynatorze.

Teza była prosta, lecz próbując ją uzasadnić, zapędziłem się w kozi róg. Czułem, że piszę o sobie, że się odsłaniam. I zobaczyłem w myślach przestraszoną twarz Iny.

Podregulowałem swój nowy fotel. W pokoju już rano było prawie trzydzieści stopni. W desktapie mojego Osborne'a podzwaniał wentylator. Migoczący ekran drażnił oczy. Korytarz za moimi plecami był pusty. Przez żaluzje widziałem pas starej wyschłej trawy, na parkingu stało czarne auto. Jakiś drugi idiota próbował pracować w tym piekarniku.

Zrobiłem przerwę i poszedłem po szklankę wody.

Na stronie internetowej „The Independent” przeczytałem, że upał zabił już setki osób w podeszłym wieku w całej Europie. Lipcowe masy powietrza przetaczały się nad Morzem Śródziemnym. Sahara zionęła swoim duszącym oddechem na Rzym, Lizbonę i Madryt. W Paryżu zwłoki zmarłych składowano w starej hali targowej. W Londynie ludzie umierali w parkach i pubach. Ciężka łapa żaru opadła na pomarszczone twarze i dusiła, dusiła je coraz mocniej, sunąc ku Północy i wlokąc za sobą gęstą mieszanekę dwutlenku siarki i wymęczonych europejskich dusz.

Zajrzałem do skrzynki odbiorczej. Nie było w niej niczego interesującego poza linkiem od znajomego z Tampere, którego poznałem na seminarium doktoranckim. Link prowadził na stronę internetową komórki narodowych socjalistów w Turku. Postawiona kilka miesięcy wcześniej witryna była imponująca. W programie górnolotne frazesy rasistowskie mieszały się z tęsknotą za panfińskim wyplataniem łapci z kory brzozowej. Zdziwiło mnie, że w danych kontaktowych podali z imienia i nazwiska zarówno szefa komórki, jak i jego dwóch przydupasów. Jeden nazywał się Tabermann, drugi Jansson.

Otworzyłem moje konto na Hotmailu. W polu nadawcy pisałem nowego użytkownika profilu: Jussi Korpinen.

Nadawca: Jussi Korpinen <s.berlusconi@hotmail.com>

Odbiorca: esa.tabermann@vs-sisu.org, pekka.jansson@vs-sisu.org

Temat: Szwedzkie pedały

Witam,

zapoznałem się z tą waszą stroną. Rodzi się pytanie: na jaki chuj szwedzkie pajace zakładają organizację, która ma bronić fińskiej rasy? Nie potrzebujemy tu was, zdegenerowane szwedzkie pedały, Finlandia będzie wielka i bez was.

Wypierdalać za morze, svenssony!

Jussi Korpinen, prawdziwy Fin

Wysłałem wiadomość i zamknąłem przeglądarkę. Usiadłem prosto. Otworzyłem edytor tekstów.

– No dobra – powiedziałem na głos.

Planowałem artykuł w nocy, leżąc w łóżku obok Iny, mokry od potu przewracając się z boku na bok i zdrapując z pleców okruszki sucharów. Na rozpalonych ulicach wyły karetki

i ryczeli pijani, a ja próbowałem poukładać myśli. Tutaj przez ostatnie godziny szlifowałem zdania, podkręcałem puenty i ironie. „Ciągłe do dupy”, myślałem i regulowałem fotel: podwyższałem oparcie, obniżałem je, luzowałem dynamikę, skręcałem ją, podnosiłem prawy podłokietnik i opuszczałem lewy. Sama liczba możliwych ustawień fotela sugerowała, że ten będzie odwałał za użytkownika całą robotę umysłową.

Podniosłem haczyk bocznego lufcika i wysunąłem głowę na zewnątrz. Oślepiło mnie słońce. Twarz owionął ciepły wiatr. Skądś dobiegł mnie śmiech kobiety, zapachniało papierosem. Miałem ochotę się upić, popłynąć z alkoholem daleko od rodzinnego miasta. Byłem ciekawy, jak mnie widzą mieszkańcy domu po drugiej stronie ulicy, kiedy tak próbuję zaczerpnąć świeżego powietrza w oknie pierwszego piętra naszego wydziału – głowa wystająca z rzędu okien. Zapewne sprawiałem wrażenie kogoś nieogarniętego, niezdolnego do normalnych kontaktów międzyludzkich.

Praca nauczyła mnie tego, że dni gnają przed siebie na złamanie karku, a inspiracja ma puste kości ptaka. Przede wszystkim musiałem znosić powolne tempo roboty, tłącą się podskórnie podejrzliwość. Nie ja jeden. W tym kraju siedziały nas tysiące i byliśmy jeszcze młodymi, ciekawskimi szczerami biurowymi. Na półkach moich regałów spoczywała dziesięciokrotność masy mojego ciała w papierze. Czy w naszych działaniach była jakaś godność? Nasze pokoiki były ciasne, bez widoków. Jeżeli człowiek nie potrafił się ukryć, musiał patrzeć w oczy samemu sobie. Zdarzało się, że odczuwał radość myślenia i pisania – ale była to prawdopodobnie wyłącznie przyjemność płynąca z siedzenia podczas pracy.



O dwunastej zrobiłem przerwę. Poszedłem nad rzekę, by tam zjeść przyniesioną z domu sałatkę. Skwarne miasto

wydawało senne pomruki. Na moście przy katedrze szumiały samochody.

Pod wielkim dębem za gmachem Muzeum Sibeliusa rozłożyła się na kocu grupka dziewcząt. Były w bikini i przeciw-słonecznych okularach killer loop, towar najwyższej jakości, błyskotliwe, wyszczekane laski, których wesołe stadka widuje się w centrach handlowych, na plażach i nocami na tarasach, rocznik z przedziału osiemdziesiąt dwa, osiemdziesiąt siedem, roboty konsumpcyjne o cudnie opiętych dupciach, zasilane światłem słonecznym, body pumpem, dorywczymi strzałami ecstazy i łykanej w krzakach parku pod obserwatorium spermy nowych punków. Gdybym wdrapał się na ten dąb, mógłbym z góry przez liście podziwiać lśniące kolczyki w ich pępkach. Głosy miały dźwięczne i męczące, rozmawiały o wojnie, spokoju ducha i interfejsach odtwarzaczy empetrójek.

Siedziałem na trawie i jadłem sałatkę. Czas płynął poza moją kontrolą. Był lipiec. Studenci zniknęli ze wzgórze i w ostatnich tygodniach zacząłem odczuwać niejaką melancholię, choć mijała dopiero połowa przerwy letniej. Te ciche dni składały się z samych godzin biurowych i miały zapach papieru do drukarki. Moja skóra pod ubraniem zachowała bladość. Iny za to nie widziałem bardziej opalonej niż tamtego lata. Kiedy wieczorem się rozbieraliśmy, wyglądało to jak spotkanie dwóch odległych plemion.

Po drugiej stronie rzeki stała nasza czteropiętrowa kamienica. Mogłem zadzwonić do Iny i powiedzieć jej, że siedzę w tym skwarze i patrzę na nasz dom i że ona jest piękniejsza od rzeki. Że myślę o jej piersiach. O tym, jakie są znajome, gdy nadchodzi wieczór i spoczywające na nich moje dłonie powoli wyciskają powietrze z jej klatki piersiowej; jakie są ciepłe i spokojne. O tym, jak ona nagle pode mną staje się obca, jak zaciąga pełne płuca powietrza i jej twarz staje się brzydka od smutku, a jej ciało sztywnieje na łóżku jak łódź wyciągnięta na brzeg. I o tym, że nie ma na to

żadnej rady. Czegoś takiego wcześniej nie widziałem. Czegoś takiego wcześniej nie czułem.

Przyglądałem się mewom nad rzeką. Może powiem Inie po prostu, że strona internetowa rasistów z Turku to fachowa robota. Było w tym coś wręcz wzruszającego, że żółtawą gwiazdę typu widmowego G2 w Ramieniu Oriona Drogi Mlecznej okrąża planeta, na której powierzchni niewielkie grupy naczelnych wypisują w globalnej sieci informacyjnej treści wymierzone w ich gatunkowe rodzeństwo o niewłaściwym ich zdaniem kolorze skóry. Trzeba było do tego wielu epok ewolucji i tysiącleci rozwoju technicznego. Jednokomórkowiec, dwukomórkowiec, ryba, małpa, człowiek. Ogniisko, grot, koło, kompas, Gutenberg, maszyna parowa, $E = mc^2$, szafka z ociekaczem do naczyń, mikroprocesor, agitka w pe-deefie od nazistów z Turku.

Skończyłem sałatkę. Wsadziłem plastikowy pojemnik do plecaka. Zerknąłem na dziewczęta, wstałem i ruszyłem z powrotem do pracy.

Na Piispankatu przeszedłem obok wielkiego klonu. Przypomniałem sobie jeden świt ubiegłej zimy, gdy w drodze na uniwersytet usłyszałem stuk dobiegający z tego właśnie bezlistnego drzewa. Spojrzałem w górę, mrużąc oczy. Mroczne niebo miało śniegiem z deszczem w spieszących do pracy ludzi, dociskało rozmiękłe ramiona ku ziemi, budziło pragnienie zaniku fizyczności. Na gałęzi klonu stukiała skamieniała wiewiórka z postawionym ogonem. Kiedy przyskoczyła do niej druga, tamta rzuciła się do ucieczki. Skrobiając pazurkami, obiegały pień to w górę, to w dół, by nagle znów zamienić się w kamień. Wtedy skądś naskoczyła na tamte trzecia wiewiórka i zaczęła gonić jedną z nich, dopóki i one nie znieruchomiały i role ponownie się nie odwróciły.

Ze ściśniętym sercem przyglądałem się ich skokom w wysokich gałęziach. Poruszały się z szatańską szybkością. Jak gdyby ciała pomordowanych na stoku katedralnego wzgórza

wspięły się na drzewo jako gryzonie o śmiesznych uszach. Gdybym miał śrutówkę, zastrzeliłbym te wiewiórki – zaznałyby wreszcie spokoju wiecznego. Stałem pod drzewem, przyglądając się im, aż mój niepokój zelżał i niebo się rozjaśniło – i wtedy nagle poczułem, jak gdybym patrzył na ogromny tryptyk: na lewym skrzydle toczyła swoje czarne wody rzeka Aurajoki, na prawym puchło podświetlone kamienisko katedry, a w części środkowej stał klon psychicznie chorych wiewiórek, które w śnieżycy goniły się, popychały, dręczyły i krzywdziły się nawzajem, nic sobie nie robiąc z pełnych autobusów ani aut walących ciężką strugą po Uudenmaankatu. Można było jednak śledzić ten spektakl ze spokojem, bo gdyby zatrzymało się te wiewiórki i zapytało, dlaczego tak się zachowują, nie otrzymałoby się żadnej odpowiedzi. I gdyby zatrzymało się ludzi, to samo – żadnej odpowiedzi. Zwierzęta i ludzie zachowywali się tak, bo tak się zachowywali. Nawet ludzie pełni ślepej woli tworzyli siebie z ziemskiej pleśni i pod śnieżącym bezkresem budowali sobie kościoły, szkoły, targowiska i systemy wojskowe.

2

Przyszedłem na świat w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim w rodzinie mieszczańskiej z dwójką dzieci, w której przekonania polityczne rodziców objawiały głębokie przywiązanie do niepolitycznego trybu życia.

Mój ojciec był najstarszym synem gospodarza ze wsi Laukaa. W wieku dziewiętnastu lat wyjechał na studia do Turku i w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym, po latach sumiennej nauki, został lekarzem medycyny. W połowie lat siedemdziesiątych uzyskał tytuł specjalisty chorób dziecięcych. Jako pierwszy w rodzinie zdobył wykształcenie wyższe i do tej pory jest wdzięczny losowi za to, że mógł chodzić do szkoły. Przeciw czemu miałby się w młodości buntować? Za jakimi ideami miałby się opowiadać? Gospodarka i polityka były gdzieś daleko, nie miały formy, w Laukaa społeczeństwa nie widziało się nawet z górki w oborze. Najbliższą mu ojcowiznę stanowiły ziemia, las i niebo; one tego łagodnego chłopca nie przerażały.

Z opowieści ojca zrozumiałem, że ideowość jego domu rodzinnego wyrażała się w kruchym sojuszu wyznawanej od święta, z tłumionym śmiechem, Bożej bojaźni z typowym dla fińskich ludowców porzuceniem świata dla próżnego uwielbienia własnej chaty z kraja. Ale wszystko to szło w zapomnienie, gdy tylko na stół wjeżdżała flaszką i zaczynały się chłopskie debaty o ważnych sprawach: wykonanych robotach gospodarskich, dojrzewającym zbożu, wojnie i ustrzelonej

zwierzynie. Chodząc po Turku, ojciec już wiedział, że porzuci rodzinne pola i marazm rolniczej społeczności. Czuł wyraźnie, że nikomu nie pali się do rewolucji, tak więc gromadzona sumiennie wiedza to najpewniejsza droga do ciekawszego i lepszego świata.

Moja matka urodziła się w Turku i była hardą potomkinią bogatego rzeźnickiego rodu, która kapryśnym romansowaniem przyprawiała swoim rodzicom wielu zmartwień. Tuż przed Bożym Narodzeniem sześćdziesiątego szóstego roku mój ojciec zobaczył ją w hali targowej akurat w chwili, gdy podawała klientowi towar. Był biedny, zaczął jednak odkładać pieniądze i zaopatrywać się w hali częściej, niż mógł sobie pozwolić.

Pod koniec zimy zaprosił matkę na kawę. Poszli do „Aschana” przy Humalistonkatu. Ona zaczęła się bać, że ten w sumie sympatyczny chłopak będzie dla niej zbyt rozsądny. Ojciec z uśmiechem opowiedział jej, jak na pierwszym roku spędzał samotne wieczory z sekundnikiem w rękę. Próbował bić rekordy w długości bezdechu. Raz przy tym zemdłał.

Matka patrzyła to na niego, to na czarno-białe zasłony marimekko za jego plecami i myślała, że mimo wszystko ma w sobie niezbędne męzczyźnie radosne szaleństwo, choć przybrało u niego dość taktowną formę. Ogarnęła ją wewnętrzny spokój. Możliwe, że jej burzliwe życie miłosne było buntem romantycznej duszy przeciw tłustemu materializmowi jej dorobkiewiczowskiej rodziny z sytego wybrzeża, celowym zgrzytaniem nożem po wypolerowanej ladzie drobnomieszkańskich masarzy. Z ojcem matka czuła, że są we dwoje. Gdy pochylali się ku sobie pośrodku światowego zgiełku, biel mieszała się z czernią, jin z jang, krew i kości z duchem; bardziej skomplikowane tańce godowe nie były potrzebne. Zakochali się w sobie, pobrali i w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym spłodzili moją siostrę Johannę, która odziedziczyła po matce hardość. Johanna twierdzi, że

związek rodziców przetrwał z jednego prostego powodu: po powrocie z każdej podróży ojciec w pierwszej kolejności brał w ramiona matkę. Potem nam dzieciakom dawał prezenty i wyganiał nas na dwór.

Jeżeli przez te kilkadziesiąt lat w związku naszych rodziców szalały jakieś destrukcyjne żądze, chronili nas przed nimi, mnie i moją siostrę. Dorastaliśmy i patrzyliśmy, jak ojciec młodnieje z wędką w ręku, a matka z czułością przyklęka na grzędzie. W tym kraju trudnych relacji ojców z synami czuję się jak outsider. Wiem, że zdusiłem w zarodku niejedną barową dyskusję prostymi słowami: „Mój ojciec to dobry człowiek”. W pobłażliwym cieniu jego tykowatej postaci trudno było rozniecić w sobie edypową wściekłość. Mogę co najwyżej oskarżyć go o to, że z racji wykonywanego zawodu w okresie mojego dzieciństwa wykazywał boleśnie żywe zainteresowanie rozwojem moich jąder. Albo postawić tezę, że traktował mnie z wyrozumiałością tak przytłaczającą, że sam siebie nigdy nie pojąłem.



Kiedy miałem osiem lat, chciałem dostać na gwiazdkę mininarty.

Pięć lat wcześniej przeprowadziliśmy się z za ciasnego już dla nas M2 w centrum na osiedle w południowej części miasta, blisko morza i wiatru, do skalistego mikroświata trzech bloków krytych czerwonym klinkierem. Nie zachowałem żadnych wspomnień z centrum. Myślałem, że wszyscy rodzice z dziećmi na całym świecie tak właśnie mieszkają: cztery pokoje z kuchnią na stu metrach kwadratowych, pod balkonem usypiający szum kolonii brzoź, w salonie parkiet bukowy i niska boazeria sosnowa, wieża panasonica i kolorowy telewizor salory. Język stratyfikacji społecznej nie był w naszym mikroświecie szczególnie rozbudowany. Po saunie

na zakończenie prac sąsiedzkich pod zadaszonym grillem zbierali się dyrektor banku, monter samochodowy, urzędnik socjalny, oficer dyplomowany, lekarz i szeregowy pracownik branży spożywczej. Wszyscy mieli obcisłe spodnie od dresu i krajowe buty sportowe z poduszką powietrzną. Wszyscy wspominali Lassego Viréna i jego mistrzowskie ścinanie łuków, popatrując przy tym na swoje dzieci, które włożyły na niską sosnę, żeby z tajwańskiego zabawkowego radiotelefonu próbować nawiązać łączność z dobrymi kosmitami z najdalszych zakątków wszechświata.

Przez całą zimę patrzyłem, jak chłopacy mocują rzemieniami do swoich moon bootów przegięte na gorącej płycie kuchennej mininarty i zjeżdżają ze zbocza wysokiej skały przy bloku, wyskakując z opartej na kamieniu skoczni. Ale ojciec nie chciał mi kupić wymarzonego prezentu. Uważał mininarty za niebezpieczne i nikomu niepotrzebny wymysł. Opisował mi skutki fascynacji prędkością: różne postaci zerwania więzadeł krzyżowych oraz uszkodzenia stawów. W wigilię dostałem pakunek, którego kształt zdradzał zawartość. Bąknąłem „dziękuję” i oparłem moje nowe biegówki o ścianę. Ojciec obiecał, że będziemy urządzać sobie męskie wyprawy narciarskie po dolinie Katariinanlaakso, będziemy brać ze sobą prowiant i ciepłe kakao, i będziemy podziwiać zamrożone morze i śnieżne pejzaże, ile dusza zapragnie.

W pierwszy dzień świąt rodzice z siostrą pojechali złożyć życzenia chorej babci. Patrzyłem przez okno, jak biała łada wyjeżdża z parkingu i znika za zakrętem. Myślałem o ojcu i nieobecnym spojrzeniem gapiłem się w okno. Chodziłem z pokoju do pokoju. Z garderoby wyjąłem kosz, zaniósłem go do kuchni, upchałem do niego opakowania po prezentach i gazety, po czym wstawiłem kosz do zlewu. Skrzesałem zapalnik i przytknąłem ją do podstawy sterty. Dymiący ogień rozrastał się szybko. Po chwili metrowy płomień już lizał zielone drzwiczki szafki z naczyniami. Patrzyłem na ogień.

Majaczyło w nim miejsce, w którym topiło się tworzywo i członkowie rodziny się rozchodzili. Chciałem sięgnąć przez płomień do kranu. Pobiegłem do przedpokoju i włożyłem buty. Kuchnia spod drzwi wejściowych wyglądała jak paleńsko pieca. Długo stałem przed blokiem z zadartą głową, trzęsąc się z zimna, kiedy na parking zajechała łada. „Kuchnia się pali”, powiedziałem. Ojciec wbiegł do klatki schodowej. Po chwili pojawił się znów na dole, chwycił mnie za kołnierz, zawlókł do windy i z windy do mieszkania.

Poczerniała kuchnia cuchnęła dymem. Panel zmywarki był pomarszczony, zwisające z ociekacza nad zlewem plastikowe szczotki były zwęglone i zdeformowane jak ptaki morskie utyłane w ropie naftowej. „Nowe drzwiczki szafki będą cię kosztować połowę twojego rocznego kieszonkowego”, poinformował mnie ojciec. „I pomożesz przy malowaniu sufitu”.

W drugi dzień świąt włożyłem moje nowe narciarki i wzięłem pod pachę biegówki. Powiedziałem, że idę na jazdę próbną na górkę za osiedlem. Ojciec już się do mnie uśmiechał. Pewnie oczami wyobraźni widział siniejącą w lutowym słońcu dolinę i myślał o tym, jak dobrze wpływa na ojców i synów wspólnie spędzany czas.

Trzymając oburącz narty i kijki, wdrapałem się na zacieniony szczyt skały. Wpiąłem buty w wiązania i spojrzałem na stromy stok. Podszyte światłami miasta niebo miało barwę coca-coli, jak to często bywa nad głowami ludzi skrzywdzonych przez los. Moim zdaniem ojciec powinien rozumieć, że w nartach biegowych jest zbyt wiele smutku zrodzonego w staromodnej Finlandii, melancholii wyludniającej się prowincji, tej samej, jaką miał w sobie cuchnący gównem wełniany sweter dziadka z Laukaa.

Wbiłem kijki w śnieg i wypchnąłem się na stok. Nabierałem prędkości w oszałamiającym tempie. Mrok ze świstem tłoczył mi powietrze w twarz, po bokach migały z hukiem różne kształty. Rzucalo mną tak, że nie trafilem w skocznię.

Kolana drżały mi z podniecenia i radości. W myślach mignął mi obraz: przez mroczny las idą na nartach wyczerpani żołnierze w białych strojach. Na równi u stóp wzgórze należało ostro skrócić albo gwałtownie wyhamować, jak robili chłopacy z bloków. Ja wjechałem do rowu, trzasnęły łamane narty. Szarpnęło mną w przód, twarzą walnąłem w coś twardego, a potem zaryłem w śnieg. Próbowałem zaczerpnąć powietrza, ale przepona nie chciała działać. Długo to trwało. W końcu bolesny ucisk w okolicy splotu słonecznego ustąpił i mogłem znowu normalnie oddychać. Wyjąłem dłonie z pętli kijków i spróbowałem wyswobodzić nogi zaplątane w potrzaskane narty. Udało mi się przewrócić na plecy. Z nogami w górze zjechałem na dno rowu. Z brody na szyję pociekła mi ciepła krew. Czułem, że złamałem sobie prawy przedni ząb. Prawym okiem widziałem na ciemnym niebie jasne okręgi jak na symbolu olimpiady w Lake Placid.

Z lustra windy patrzyła na mnie moja zakrwawiona twarz. Ojciec otworzył drzwi i aż się zdrygnął. Gdy z naręczem połamanych desek osunąłem się na ławkę w przedpokoju, wypiął mi buty z wiązań i zdjął mi kombinezon. „Zahaczyłem o korzeń”, zdołałem wydusić. W łazience posadził mnie na swoim kolanie i obejrzał moje rany. Zajrzał mi do ust. „Jedziemy do szpitala”, powiedział. „Co ty tak zawsze...” Spojrzałem na niego i się rozplakałem, bo w świetle jarzeniówki sprawiał wrażenie, jakby żałował prezentu, jego duże, jasnoniebieskie oczy były poważne i dobre, tak jak pewnie już wtedy, kiedy sam był chłopcem i mieszkał w Laukaa w wiejskiej chacie z dziadkiem. Z tymi swoimi lekarskimi oczami nie był zdolny nikogo okłamać, ale ja byłem zdolny do wszystkiego.



Kiedy matka zaczęła mnie nosić w brzuchu, ojciec sprzedał swoje stare auto, czerwonego małego fiata, i kupił białą

ładę. Pierwszy raz jechałem samochodem w styczniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku – z oddziału położniczego kliniki do domu. Ojciec prowadził, a ja spałem w ramionach matki, nie mając jeszcze pojęcia o tym, czym jest zima albo cierpienie.

Finowie za bardzo roztrząsali swoje polityczne skoki w bok z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Era wartości rynkowej i bilansu płatniczego wydała na świat nudny gatunek człowieka religijnego: skruszonego komunistę w wieczornym studiu o dwudziestej pierwszej. Zdradzały go wilgotne oczy: cośmy pobalowali, to nasze. Każdy dostaje jedną wspañałą młodość, którą z czasem zakrywa rozchwieany pawilon wystawowy zwanym życiem ludzkim.

Jedno z najpowszechniejszych doświadczeń dzieci upartyjnionego pokolenia nie doczekało się ani uczciwego, ani obszernego studium. Wiele lat temu obejrzałem film dokumentalny, w którym Finowie z nostalgiczną serdecznością wspominali łady swoich rodziców jako samochody z duszą. Moim zdaniem dokument wypaczał historię wstydu, z jakim musiały żyć dzieci wożone autami z demoludów.

Gdy latem jeździliśmy na wakacje do rodziny w środkowej Finlandii, nagrzana od słońca tapicerka śmierdziała tak, że Johannę i mnie zawsze brało na wymioty. Podczas mrocznych zimowych przejazdów prymitywne wycie rosyjskiego układu napędowego doprowadzało mnie do wściekłości. Nie spałem nocami, bo rozmyślałem, jak tu nakłonić ojca do kupienia porządnego samochodu. Powtarzałem sobie, że jeśli on tego nie zrobi, to ja chcę umrzeć.

Na jesień siedemdziesiątego dziewiątego poszedłem do pierwszej klasy. Miałem wszelkie predyspozycje do tego, by przetrwać w dżungli podstawówki: byłem bystry, wysportowany, miałem ładną buzię i umiałem się bić. Moim najsłabszym punktem był samochód ojca. Wiedziałem, że ta okoliczność będzie przemawiać na moją niekorzyść.

Nie rozumiałem, dlaczego ojciec wciąż chce jeździć ładą. Przecież nie wierzył w komunizm. Był lekarzem specjalistą, na pewno stać by go było na porządne auto. Wertowałem jego „Światy Techniki” i pokazywałem zdjęcia: volvo, szary metalik. Taunus, dobry wóz. Toyota carina, robią ją w samej Japonii.

Ojciec wiedział, do czego piję. Raz za razem moje marzenia o godnej egzystencji ludzkiej rozbijały się na szkiełkach zdrowego rozsądku: w swoim przedziale cenowym łada jest najlepsza.

Sprawę komplikował jeszcze jeden szczegół, z którego najbardziej szydzili chłopacy z osiedla. Mianowicie ojciec używał skórzanych rękawiczek bez palców i z paskiem na nadgarstkach, które pasowałyby bardziej do Jamesa Bonda i jego astona martina w *Goldfingerze*. Mówił, że dają pewny chwyt kierownicy. Nigdy o nich nie zapominał, gdy wyjeżdżał do pracy. Otwierał drzwi, wrzucał do środka teczkę i stojąc obok auta, wciągał te swoje rękawiczki. Dopiero, gdy już starannie zapiął oba paski, siadał za kierownicą i odjeżdżał.

Ładą. Po takim wstępie.

Raz postanowił zawieźć mnie na trening ligi juniorów. Dozorca kosił właśnie trawę i przyglądał się mu, jak zakłada przy aucie te swoje rękawiczki. Taka jazda wieczorem to poważna historia, rzekł tamten. Ojciec tylko się uśmiechnął i zaciągnął oba paski z taką miną, jakby się przygotowywał do operacji serca. W rękawiczkach jego dłonie wyglądały jak ręce jakiegoś chamskiego inwalidy.



Latem osiemdziesiątego drugiego przenieśliśmy się na drugą stronę miasta do domu jednorodzinnego. W szoferce ciężarówki, którą jechały nasze rzeczy, usiadłem między

dwoma gośćmi w kombinezonach. Z wysokości machałem swoim dawnym kolegom. Czułem, jak ich twarze i imiona już zaczynają wyparowywać mi z pamięci. Jesienią miałem zacząć naukę gdzie indziej. Będziemy mieszkać w dzielnicy willowej, więc może do mojej nowej szkoły nie dotrą słuchy o ładzie ojca. Może w końcu ją zmieni, skoro będziemy mieli nawet własny basen na podwórku.

Pewnego sierpniowego dnia ojciec wrócił z pracy rozwe-selony i poprosił nas wszystkich przed dom. Na podwórzu stała nowa biała łada. Wyglądała dokładnie tak samo jak stara. Z wściekłości aż odebrało mi mowę. Wróciłem do domu, wszedłem po schodach i trzasnąłem drzwiami swojego pokoju. Ze łzami w oczach rzuciłem się na łóżko i zacząłem szukać pulsu na nadgarstku. Najgorsze w tym wszystkim było to, że ojciec sprawiał wrażenie rozanielonego. Jakby naprawdę się z tej łady cieszył.

W pierwszy dzień szkoły padało. Ojciec chciał mnie podwieźć, ale odmówiłem i poszedłem na rozpoczęcie roku w ciepłym kapuśniaczku końca lata. Usiadłem w ławce w jeszcze sztywnych od nowości adidasach jaguarach i przyglądałem się swojej klasie, zastanawiając się, kto zostanie moim przyjacielem, w kim się zakocham, a kogo z czasem znienawidzę. Fajna nauczycielka poprosiła wszystkich, aby po kolei wstali i się przedstawili, ponieważ do grupy dołączyło troje nowych uczniów. Ludzie mówili krótko, byli onieśmieleni. Kiedy przyszła moja kolej, drżącym głosem powiedziałem, jak się nazywam, skąd pochodzę i co lubię robić. Próbowałem sobie przypomnieć, co jeszcze mógłbym dodać. Na pustej ulicy za oknem zobaczyłem duży czarny wóz, jego chromowany błotnik błysnął w słońcu. Sunął po jezdni pewnie, jak linia kreślona na papierze grubym flamastrem. Powiedziałem: „Mój ojciec zamierza kupić chryslera new yorkera”. Milczenie było mi przychylne. Nauczycielka kiwnęła głową. Usiadłem i poczułem, że moje policzki robią się czerwone.

Przez chwilę byłem szczęśliwy, jakbym przewrócił swojemu wrogowi cały łańcuch kostek domina.



W lipcu osiemdziesiątego trzeciego Johanna poznała mnie z dziećmi państwa Goldów.

Spędzaliśmy dwa tygodnie wakacji nad jeziorem Garda i płynęliśmy statkiem z Malcesine do Rivy. Kiedy biały prom wypłynął z portu, gadatliwi Włosi rozłożyli koce na pomalowanym na niebiesko pokładzie dziobowym i podawali sobie chleb, butelki wina, ciastka i owoce wyciągnięte ze swoich koszy. Jakiś grubas zaczął grać na gitarze i śpiewać. Jakaś kobieta podała moim rodzicom kieliszki z winem i pokazała, że mamy iść za nią. Z wyrazu twarzy matki wyczytałem, że imponuje jej takie zachowanie. W jej rodzinie na towarzysztwo patrzyło się z progą podejrzliwie, drobnymi kroczkami dreptało się na środek pomieszczenia i odchrząkiwano. Matka chwyciła ojca pod ramię i wmieszali się we Włochów. My z Johanną usiedliśmy na ławce przy balustradzie.

Zauważyłem, że choć Włosi mówią i śmieją się bez przerwy, w ich towarzystwie nie można czuć się bezpiecznie. Jeżdżą skuterami i samochodami z przerażającą szybkością i na ulicy krzyczą i wymachują rękami, jakby do nikogo. Strażnicy w bankach noszą pistolety maszynowe, choć lir jest warty tyle co nic. Właściciel naszego hotelu pożyczył ode mnie procę i z własnego podwórka strzelił w latarnię na ulicy, a gdy trafił i roztrzaskał klosz, zaczął wyć z radości i walić się ręką po udzie, gruby dorosły facet o dłoniach porośniętych smolistoczarnymi włosami. Pomimo swojej monumentalnej historii Włosi postanowili pozostać dziećmi.

Jeziro za to było niebieskie i wąskie, a góry ciche. Kiedy spojrzałem na dziób, matka już wstała i tańczyła. Położyła sobie ręce na biodrach i kołysała się z zamkniętymi oczami.

mi. Miała krótką spódniczkę. Widziałem jej napięte łydki, widziałem, jak Włosi się na nią gapią, chociaż nie była już wtedy młoda. Może właśnie dlatego postanowiła zatańczyć na płynącym po jeziorze promie turystycznym – by zdążyć, zanim jej młodość bezpowrotnie już przeminie. Ojciec wstał, podszedł do niej i położył jej ręce na biodrach, na jej dłoniach. Poruszał się sztywno. Koszulę miał rozpiętą pod szyją, jakby próbował się spod niej wydostać jakiś obcy mężczyzna. Włosi przyglądali się im z pozorną obojętnością. Moim zdaniem rodzice udawali. Chciałem pójść do nich na dziób, kopnąć ich w kostki i powiedzieć: „Przestańcie, jesteście z Turku”.

Johanna popatrzyła na rodziców, trąciła mnie w ramię i rzekła: „Chodź”. Poszedłem za nią na rufę. Oparliśmy się o balustradę i patrzyliśmy na czystą wodę i towarzyszącą nam łagodną falę kilwateru. Niebo było błękitne jak plastikowy kamyk na bransolecie Johanny. W oddali sunęły z wiatrem deski z białym żaglem. Na naszym lotnisku nad jeziorem widziałem podobne ważki, ale Johanna w czerwcu już nie pojechała z nami do domku, wołała spędzić juhannusa sama w mieście. Wyrosły jej okrągłe piersi, zaczęła używać błyszczyka i często sprawiała wrażenie, że dźwiga na swoich barkach tak ciężkie brzemię utajonego smutku, że jedynym sposobem na jego zniesienie jest otwarte wkurwanie wszystkich dookoła. Po wakacjach miała iść do gimnazjum. Cieszyłem się, że w otoczeniu Włochów wołała być ze mną. Takie chwile zdarzały się nam już rzadko.

Johanna uniosła podbródek, spojrzała na jezioro z poważną miną i powiedziała:

– Pomyśl tylko, Niklas. I zapamiętaj. Oto widzimy dzieci państwa Goldów. W podróży we dwoje.

Od razu zrozumiałem, o co jej chodzi. Skoro ojciec tańczył z matką na dziobie w taki sposób, to my na rufie mogliśmy być, kim tylko chcieliśmy. Powiodłem dumnym spojrzeniem po górach i zamyśliłem się nad słowami Johanny.

Zabrzmiały wzniosłe i melancholijnie: d z i e c i p a ń s t w a
G o l d ó w. Dzieci państwa Goldów? Kim były? Nie miały
rodziców, nie miały imion. Twarze odziedziczyły po swoich
najważniejszych marzeniach o wolności i pieniądzach, i po-
chodziły nie stąd, a z miejsca przez duże M, do którego nie
można było dojechać żadną łądą. Można za to było do późnej
nocy nie spać i w holu szklanego hotelu bić rekordy na auto-
macie Space Invaders. Dziewczęta były tam bardziej opal-
one i dziksze niż u nas. Chłopacy mieli takie same włosy jak
Niemiec Pierre Littbarski na mundialu w Hiszpanii. Dzieci
państwa Goldów. Używały najlepszej japońskiej elektroniki,
a mimo to znały żałosne doświadczenia z picia wieczorem
kakao w fińskim Turku i słuchania bębnienia deszczu w okno.
Świetnie czytały plany wielkich metropolii i rozumiały ogło-
szenia na lotniskach, wszędzie podróżowały we dwoje, dzie-
liły między siebie po równo grube banknoty. W głębi duszy
jednak pozostawały zawsze samotne.



Przyszedłem na świat w rodzinie, w której przekonania
polityczne rodziców objawiały głębokie przywiązanie do nie-
politycznego trybu życia. Na olśnienie i pojęcie rzeczy tak
prostej przyszło mi czekać długie lata. Dopiero w dorosłości
zrozumiałem ojca, jego ostrożność uformowaną przez bli-
skość zimnowojennego frontu, arcyfińską pragmatyczność
mieszczanina w pierwszym pokoleniu, któremu udało się sta-
nąć szczebel wyżej na drabinie klas – pragmatyczność, przez
którą unikał werbalizacji konfliktów społecznych i urabiał
własny światopogląd z myśli o rodzinie i pracy. Gdy człowiek
wspina się na kolejny szczebel, nie chce myśleć o tym, że
drabinę od spodu podgryza syberyjski mróz. Wierzę, że mój
ojciec wybrał zawód lekarza, bo chciał poprawiać warunki
ludzkiego życia. Takie były – i do dziś pozostają – jego ideały:

skupiające się na jednostce, możliwe do zrealizowania, zdroworozsądkowe i niewygórowane. Po co się burzyć z powodu niesprawiedliwości, kiedy można robić swoje pod sztandarem umiarkowanego postępu i stabilnego wzrostu dobrobytu, pracowicie i beznamiętnie, jakby się myło ręce przed procesem pasteryzacji życia.

Matka miała bardziej emocjonalny stosunek do krzywd społecznych. Popłakiwała i piekliła się nad zdjęciami głodnych dzieci, zabierała nas na protesty przeciwko rozmieszczeniu rakiet w Europie, opowiadała o Wietnamie i incydencie w Zatoce Tonkińskiej, o Frakcji Czerwonej Armii i uciskanych przez Związek Radziecki ludach fińskich. Ale najważniejsze dla niej było to, żebyśmy nie oglądali za często telewizji, tylko dużo czytali. Matka uważała, że czytanie powieści – a zwłaszcza utożsamianie się z cierpieniem najlepszych powieściopisarzy – to najpewniejsza droga do człowieczeństwa. Opowiadała nam o katordze Dostojewskiego i pozorowanych egzekucjach, o okropnej relacji Kafki z ojcem, o bezsenności i wegetarianizmie, o wahaniach nastrojów Woolf i jej samobójstwie. Dla mnie to wszystko brzmiało strasznie, ale trzeba przyznać, że uszlachetnianie metodą matki nie nakładało na nas zbyt wysokich wymagań. Wystarczyło położyć się na sofie, przykryć nogi kocem i wsłuchiwać się w dźwięczne słowa pisarzy, kryształą bólu i bezdomności sypiące się na czytelnika jak iskry błyskawic spod kowadła letniej chmury burzowej.

Kiedy się starzeję i myślę o swoim dzieciństwie, dostrzegam w nim ogromne pokłady spokoju, które z każdym wspomnieniem zdają się przybierać coraz to bardziej absurdalne rozmiary. Jestem gotowy to wybaczyć. Ostatecznie rodzice nie są zobowiązani pokazywać swoim dzieciom prawdziwej natury tego świata.